

№ 15. Rok XVI.

Dnia 30 Marca (11 Kwietnia) 1896 r.



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI

## Wiosna.

Co dnia wcześniej budzi się jutrzienka,  
Co dnia żwawiej z łoża w niebie wstaje,  
I różowsza co dnia jej sukienka,  
Świetniej błyska lecąc ponad gaje:

Leci na świat jutrzienka różowa,  
Budząc ziemię drzemiącą pod śniegiem,  
Rzeki, wody, które lód okowa,  
Sady, bory i łąki szeregami;

Coraz chyżej, coraz budzi żwawiej  
Nawet trawkę pod śniegiem tęskniącą,  
Ciemnym chmurkom coś tam groźnie prawi,  
Prawi słońku, aż błysło gorąco!

Więc zaszumi coś... czyby bociany?...  
Zatrzepocze się zimowe ptactwo,  
Kręci głową wróbel z poza ściany:  
Czy to wiosna? czy jakie matactwo?

I siadł sobie na najwyższym piętrze,  
Aż tu leci dzikie ptactwo sznurem!  
Pękną w słońcu lody najzawziętsze,  
Niebo, ziemia, zabrzmią śpiewnym chórem:  
Witaj wiosno zawsze młoda,  
W brylantowe strojna krasy,  
Zapłoniona, jak jagoda,  
W szacie tkanej w wonne lasy!

Różnie zdarza się z jesienią,  
Nieraz płaczą na nią starzy,  
Kwaśne jabłka się rumienią,  
Wczesne zimno serca warzy;  
Różnie bywa też i z latem  
Nie raz na nie płaczą młodzi;  
Jedna wiosna, jak śwint światem  
Owa jedna nie zawodzi:

Budź-że żwawo, budź, jutrzienko,  
Kwiatki, trawki, niechaj rosną!  
Siadaj boćku nad chatenką.  
Bywaj wiosno! Witaj wiosno!

M. Zielińska.





## DŹWIEK I ŚWIATŁO.

Wśród ciemnych chmur zajaśniała wężem błyskawica: przemykamy oczy, nasłuchując, rychło grzmot zahuczy; mijają sekundy ciszy, przerywanej pluskiem deszczowych kropel, aż wreszcie dolatuje do uszu huk przeciągły lecz słaby. Ktoś wtem robi uwagę, że piorun daleko gdzieś uderzył. Czyżby zatem błyskawica poprzedzała grzmot w różnych odstępach czasu? Lecz im głośniejszy huk słyszymy, tem szybciej następuje on po ognistym zygżaku, przecinającym ciężkie, deszczowe chmury. A jednak błyskawica i grzmot to dwa objawy *jednoczesne*, piorunu, czyli iskry elektrycznej tak potężnej, że człowieka zabić może, jeśli nań padnie, że rozdziera drzewa, zapala drewniane lub słomą kryte budynki. Dla czegoż więc nie jednocześnie widzimy i słyszymy uderzenie piorunu.

Oto, dla tej prostej przyczyny, że światło i dźwięk jakiegokolwiek pochodzenia z różną szybkością przebiegają powietrze. Zachodzi tu nawet ogromna różnica w szybkości, o czem przekonać nas mogą następujące cyfry. Podczas jednej sekundy, światło przebiega olbrzymią przestrzeń trzystu tysięcy kilometrów, zatem światło, które zabłysłoby o dziesięćset tysięcy kilometrów doszłoby do nas dopiero po trzech sekundach swego istnienia. Co zaś do dźwięku, na jedną sekundę przebywa ono tylko trzysta czterdzieści trzy metry. Rozumiemy teraz dla czego błyskawica zawsze grzmot poprzedza; dźwięk bieży przeszło 882 razy wolniej od światła, zatem im dalej od nas piorun uderzył, tem dłużej na powolny głos jego czekać musimy. Ktoś może zapyta, jakim sposobem wiemy ile metrów na sekundę przebiega dźwięk lub światło.

Co do światła, nie możemy na tem miejscu wyjaśnić dokładnie sposobu mierzenia jego szybkości, gdyż wymagałoby to wiele objaśnień z dziedziny astronomii i fizyki; kilku uczonych przeprowadziło odpowiednie obliczenia, pierwsze z nich zawdzięczamy duńczykowi Römer'owi.

Szybkość zaś dźwięku, obliczono w 1822 roku. Pod Paryżem, na dwóch wyniosłościach, oddalonych od siebie przestrzenią 18,631 metrów, postawiono po jednej armacie. Z zegarkiem w rękę, kierownicy doświadczenia patrzyli na przeciwną wzgórze, oczekując widoku światła, a potem nasłuchując huku wystrzału. Po kilku takich wystrzałach, kierownicy zeszli się z sobą dla zamiany zrobionych spostrzeżeń, obaj mieli doskonale idące, jednakowo nastawione zegarki. Każdy huk dochodził o pięćdziesiąt cztery sekundy później od chwili wystrzału czyli, że dźwięk potrzebował pięćdziesięciu czterech sekund dla przebiecia przestrzeni 18,631 metrów. Jeśli zatem podzielimy ilość przebytych metrów przez ilość sekund, dowiemy się, że podczas jednej sekundy dźwięk przebywa przestrzeń około trzystu czterdziestu metrów.

Płyną szybciej od powietrza głos przeprowadzają, najszybciej jednak ciała stałe. W próżni, czyli w przestrzeni pozbawionej powietrza, dźwięk wcale się nie rozchodzi.

A. M.

## LOS Y ADASIA.

przez

*Żofię Kławecką.*

(Dalszy ciąg).

— Zostawiam ci czas do namysłu do jutra — odrzekł pan Janocki — Pamiętaj, że to moje ostatnie słowo.

Po wyjściu pana Janockiego Adaś gniewał się, zżymał,

udawał przed kolegami zucha, który nie boi się ani sądu, ani dyrektora, ani przyjazdu ojca, ale czynił to raczej, żeby zagłuszyć strach, który go ogarniał. Ojciec jego był w ostatnich czasach taki na niego zagniewany, taki rozżalony, taki dla niego obojętny, taki zimny i sztywny. że na wspomnienie tego w Adasiu podnosiła się trwoga i żal, a tu mu grożono, że temu ojcu nowy cios z jego powodu zadać miano. Udawał wciąż niustraszona zucha, a w gruncie wiedział, że przystanie na wszystko, byle ojca jego nie sprowadzono telegramem do Warszawy. Niby w końcu dał się zmiekczyć perswazyami Antosia.

— Nawarzyłeś sobie tej mikstury — przedstawiał mu Antos — to ja musisz wypić! Z tego dzieciństwa zrobi się okropna historia. Twój ojciec przyjedzie, będą cię przenosić Bóg wie gdzie, a tymczasem ten wściekły lokator pójdzie do dyrektora, poda sprawę do sądu... Ja widziałem z jego miny, że on na wszystko gotów. Pójdiesz przeprosisz i koniec.

— Nie będę całował lokaja w rękę.

— O, wielka rzecz! Ujmiesz go za rękę i pocałujesz we własny palec! Radzę ci, żebyś tak zrobił dla świętego spokoju. I lokator z pierwszego piętra ułagodzi się i Ćwiek się ułagodzi a za parę dni zapomnisz o tej wielkiej burzy.

Adaś dawał się prosić, opierał się, udawał, że się oburza na samą propozycję, w końcu rzekł:

— Ja za nic w świecie nie pójdę powiedzieć Ćwiekowi, że się zgadzam!

— To ja pójdę — rzekł Antos — Zostaw mi już wszystko, a ja wszystko załatwię. Jestem twoim przyjacielem, przyjacielowi zaufać można! Zaprowadzę cię w tryumfie na drugie piętro i niech mają swoje przeproszenie kiedy im o nie tak chodzi!

Tak się stało jak Antos chciał. Chłopcy poszli z ociągającym się Adasiem na drugie piętro i jeden z nich pociągnął za dzwonek. Otworzył lokaj, który się skrzywił, myślał bowiem, że mu to przyjemne towarzystwo gotuje jaką nową niespodziankę, ale we drzwiach salonu ukazał się sam lokator z drugiego piętra w szlafroku, który drapał na sobie jak gdyby to była rzymska toga. Poznał Adasia, stanął więc w postawie mowy i odezwał się:

— Młodzieńcze, jesteś na zły drodze! W Atenach i Sparcie młodzież szanowała starszych i tym sposobem dorabiała się doświadczenia, stanowiska, zasługi! Ty zaczynasz od tego, że starszych nie szanujesz, a skończysz na tem, że ciebie nikt szanować nie będzie! Domyslam się, że przyszedłeś ucałować rękę, którą po tylekroć trudziłeś zacieraaniem i sprzątanieniem tego co u naszych drzwi zostawiała twoja głupota.

Adaś przy tej przemowie lokatora z drugiego piętra poczynął się już obrażać, czerwienić i indyczyć, ale Antos popychając go ku lokajowi zabrał głos:

— Tak, panie, mój kolega chce zawrzeć z szanownym panem zawieszenie broni.

— Co to znaczy? — zawołał lokator z drugiego piętra — Jakie zawieszenie broni?

— Zawieszenie broni na ciągle, na zawsze! Broń się zawiesza i można jej już nie zdjąć z kołka. Otóż Adaś Bodzicki, mój kolega, już nigdy nic nie wrzuci do skrzynki szanownego pana, choćby ta skrzynka miała na wieki pozostać próżną.

Tymczasem lokaj cofał się zawstydzony przed zbliżającym się ku niemu Adasiem.

— Niech tylko panowie nie czynią mi już więcej przykrości — mówił — człowiek i tak ma dosyć roboty, ma zjadł wyprzątać... jeszcze ze skrzynki do listów! A to czasem znajdowałem w niej ogryzki od jabłek, łupiny, obierzyny z kartofli pieczonych, skorupy od jaj, stare stalówki, kawałki podszwy, podarte rękawiczki, strzępy jakiegokolwiek, papiery Bóg wie jakie i już z przeproszeniem nie śniem powiedzieć co.

— Więc, dobry człowieku — odezwał się lokator z drugiego piętra — nie wymagasz by ten oto młodzieniec ucało



wał swoją rękę? Przebaczasz mu, chociaż jest to rozpustnik i mogę go tylko porównać z synami Helego, których gorszące obyczaje...

— A, niech tam sobie panowie już idą na trzecie piętro — rzekł lokaj — zwyczajnie, i między porządnymi paniczami trafi się czasem bylejaki psotnik. Tośmy trzy dni czatowali na ptaszka, zanim się go nam złapać udało! Aleśmy złapali!

Chłopcy uklonili się grzecznie lokatorowi z drugiego piętra i pędem, śmiejąc się skoczyli na górę. Antoś jako parlamentarz poszedł do pana Janockiego.

Zacny profesor był szczerze zmartwiony.

— I ja przecie byłem młody — rzekł do Antosia — i ja dopuszczałem się czasem rozmaitych figlów... miałem różnych kolegów... uniem przebaczać młodzieży, rozumiem młodzież, ale doświadczenie mię uczy, że chłopiec, który kłamie, rzadko kiedy wychodzi na porządnego człowieka, a często po śliskiej drodze nieprawdy stacza się bardzo nisko... Czasem na samo dno przepaści!

Już na święta Bożego Narodzenia, Adaś pojechał do domu z cenzurą bardzo wątpliwą. Była w niej i dwójka i palka. Zapewniał znowu matkę i Marynię, że nie on był winien, ale niesprawiedliwość profesorów. Zawsze sobie któryś musiał do niego coś upatrzeć!... Zresztą na tę cenzurę poprawi. Przecie po wakacjach zdał tak doskonale poprawkę... To nie taka trudna rzecz! Na pierwszy kwartał, profesorowie umyślnie stawiają złe stopnie, żeby się uczniowie w drugim kwartale dobrze do roboty zabierali. To już taki ich zwyczaj!

Podczas wakacji świątecznych Adaś bardzo silnie się zaziębił. Żyjąc na zamarzłym stawie, wpadł w przeziębieł i dostał takiej gorączki, która sprawiła, że o dwa tygodnie później powrócił do Warszawy. Teraz zrobił się w jego głowie chaos prawdziwy. Już i przed świętami uczył się źle, teraz zaś poczuł, że koledzy odbiegli go bardzo daleko a on nie miał ochoty gonić za nimi. Coraz większe ogarniało go lenistwo przy książce, coraz większą miał ochotę do zabawy. Gdy tylko mógł uchwycić chwilę w której pan Janocki był nieobecny, zaraz zaczynał grać w bezika z kolegami, których tej gry powyuczał.

Chyba ty, Adasiu, zostaniesz na drugi rok? — zapytał go raz Antoś.

— E... jakoś to będzie! — odparł Adaś. — Mnie się udają poprawki! Może tam jakoś z poprawką przelezę do szóstej! Mam starszych kolegów w klasie! I tak młodo skończę szkoły!

Na Wielkanoc dostał najgorszą cenzurę z całej klasy. Wstydził się pokazać w domu, uprosił więc pana Janockiego by mu pozwolił zostać a do domu napisał, iż nie może opuścić Warszawy, gdyż chce wielkanocne wakacje spożytkować na pracę. Profesorowie bardzo dużo teraz od uczni wymagają, tak, że trzeba bardzo pracować, by ich zadowolnić. W Warszawie on pracować będzie, zaś na wsi i w domu rodzinnym za wiele jest pokus do próżniactwa.

Pani Bodzicka i Marynia uwierzyły słowom jego listu, pan Bodzicki zaś zmarszczył czoło i rzekł:

— Jestem przekonany, że to wszystko kłamstwo!

— Ach, nie! — zawołała Marynia — tatuś za surowo sędzi Adasia.. on przecie kłamcą nie jest... lubi czasem trochę pobलगować, ale by nie śmiał okłamywać rodziców!

— Daj Boże byś się nie myliła, moja Maryniu! Ach, ile ten chłopiec zmartwienia nam przynosi!

— Zobaczysz tatuś, że on się poprawi, że on jeszcze wyrośnie na porządnego człowieka! On ma dobre serce tylko głowę złą! Przyjdzie do rozumu i wszystko będzie dobrze!

— Napiszę do niego by mi natychmiast przysłał swoją cenzurę.

Adaś zbijał baki w Warszawie. Pani Janocka przez wakacje świąteczne została sama w Warszawie, pan Janocki zaś wyjechał do brata, do Krakowa. Adaś wahał się, odwiedzał kolegów nie wyjeżdżających z Warszawy, i doczekał nareszcie szczęścia grania w bilard. Od razu zapalił się szaleniem do tej gry. Byłby grał dzień i noc, gdyby mu były na

to siły starczyły. O złej cenzurze, która go w pierwszej chwili zmartwiła, teraz zapomniawszy, i do szalu oddawał się zabawie. Ze w bilard przegrywał, więc napożywał pieniędzy od rozmaitych kolegów i znajomych, a nawet od żyda tandeciarza, któremu obiecał oddać za rok dwa razy większą sumę. Pani Janocka prawie wcale go nie widywała, a gdy mu czyniła nad tem uwagę, powiadał jej, że się chodził uczyć do kolegi. Razem, nauka szła im lepiej.

Gdy odebrał list od ojca żądający cenzury, musiał ją posłać i tego dnia wziął do ręki gramatykę grecką, ale gdy otworzywszy ją spojrzawszy na jakiś ustęp, ogarnęła go taka nuda, taki wstręt, taka odraza, że porwał go ziewanie. Rzucał tedy książkę i pobiegł na miasto.

Skończyło się naturalnie tem, że Adaś został na drugi rok w tej samej klasie. Na radzie pedagogicznej była mowa o wydaleniu zupełnie Adasia ze szkół, ale pan Janocki osłonił go swym wpływem. Wezwał wszakże pana Bodzickiego na naradę, która skończyła się tem, że Mundzio, który już przebył pierwszy kurs w politechnice rygskiej, pojechał znowu do Słomienca jako korepetytor.

Teraz jednakże z Adasiem była ciężka sprawa. Jego umysł rozpróżniaczony, odzwyczajony od wszelkiego wysiłku, trudno było nałamać do jakiegokolwiek rygoru. Mundzio męczył się, trudził, dobywał ostatnich sił i energii, Marynia wpływała, jak umiała, na brata. Czasem Adaś usiłował, ale tak już był znarowiony, że mu szło jak z kamienia. Czasem Mundzio powtarzał mu lekcye jak dziecku, a on siedział rozparty w krzesle, z zaspaną miną, z wyrazem idyotycznym w oczach.

— Adasiu! — mówił Mundzio — czy ty nie czujesz, że nauka, to szczęście! Gdyby mnie, na przykład, teraz odjęto naukę, tobym się czuł najbiedniejszym z ludzi! Już nie mówię o tem, że nauka daje utrzymanie mnie i mojej rodzinie, ale ona mi daje zadowolenie największe! Oświecać swój umysł, co za szczęście! To nie tylko ja to mówię! Zapytaj się twojej siostry, panny Maryi; ona powie ci to samo! Przypatrz się z jaką pilnością ona się uczy!

Praca Mundzia, ciągle prośby Maryni, którą Adaś niezmiernie kochał, sprawiły jednak niejaki skutek. Adaś pod koniec wakacji trochę się był znowu wdrożył do pracy. Wyjechał z postanowieniem uczenia się, ale gdy tylko dostał się do Warszawy, między kolegów, odżyła w nim szalona ochota zabawy i szalone lenistwo do pracy. Czytał tylko na te chwile, w których go nie pilnowano by grać w bezika, by bieda do kolegi, u którego rodziców znajdował się bilard. Powtarzał sobie, że będzie bogatym i bez pracy się obejdzie a także obejdzie się bez nauki. Przecie umiał już bardzo dużo, a że czytać lubił więc się jeszcze czytaniem dokształcał.

W listopadzie, niespodzianie spotkał na ulicy Mundzia stroskanego, z czerwonymi oczami i z krepą na ramieniu. Dowiedział się, że pani Zorewiczowa umarła nagle i Mundzio przyjechał na jej pogrzeb. Teraz już na jego opiece zostawało troje rodzeństwa i na nim spoczywała odpowiedzialność za przyszłość rodziny.

— Cóż ty teraz poczniesz? — zapytał Adaś.

— Będę się starał zaradzić wszystkiemu — odparł Mundzio — Pan Bóg mi dopomoże! Dostałem teraz miejsce w domu komisowym. Pracuję tam w godzinach poobiednich i to mi przynosi więcej niż korepetycje. Rano się uczę... Teraz przy dzieciach zostanie stara ciotka mojej matki, a potem, może je zabiorę do Rygi. Chciałbym, byśmy mieszkali razem. Jestem ich jedynym opiekunem chcę aby się pod moim okiem wychowywały. Staś już mi przynosi pociechę. Jest pierwszym uczniem w swojej klasie. Mam przed sobą bardzo ciężkie zadanie, bardzo wiele pracy, i tylko proszę Boga, by mi dał siły i zdrowie.

Adaś splotał się na widok łez płynących po policzkach Mundzia.

— Żebyś ja ci mógł w czem dopomóc! — zawołał.

— Mógłbyś — rzekł Mundzio. — Mam drugiego brata którego bym chciał przygotować do wstępnej klasy. Tybyś mógł dawać mu godzinę lekcji dziennie.



— Będę dawał. Tyś się tyle namęczył nademną...

— Dobrze, oddaj to memu bratu, a ja kiedyś może znajdę sposobność wywdzięczenia się tobie.

Adaś z początku chodził do Julka Zorewicza i niby to rozpoczął z nim porządną naukę, ale natura ciągnie wilka do lasu, a próżniactwo było teraz naturą Adasia. Nie miał siły się z niego otrząsnąć. Powoli, lekcy Adasia udzielane Julkowi stawały się coraz rzadsze, coraz krótsze, coraz niedbalej przez Adasia odbywane, wreszcie ustały zupełnie.

Adaś był teraz przez wszystkich za osła uważany. Rodzice bali się jego towarzystwa dla swych dzieci, cytowano go jako przykład zupełnego zmarnowania się. W Słomieniec uniekano wspomnienia o nim przy panu Bodzickim, gdyż wiadano, że biedny ojciec gryzł się i przeżył ciagle o tem, co będzie z Adasia i co z nim zrobić jeżeli z gimnazjum wydalony zostanie.

Pani Bodzicka z Marynią rozmawiała o nim czasem w sekrecie, przyczem obie zalewały się łzami.

Marynia była teraz ośmnastoletnią, zatem już dorosłą, bardzo miłą, dobrą i pracowitą panienką. Była pociechą swych rodziców a pocieszycielką wszystkich cierpiących. Myślała o chorych we wsi, posyłała im posilną strawę, odwiedzała starców, uczyła dzieci. Była prawdziwym skarbem; co czuli wszyscy, co się do niej zbliżali. Ze była bardzo pobożna, więc nie ustawała w swych modlitwach i prośbach o poprawę Adasia. Miała pójść piechotą do Częstochowy, jeżeli Adaś dostanie promocję.

Pan Bodzicki tak był ciągle strapiiony postępowaniem Adasia, że mu to aż odejmowało możność zajmowania się, z równą jak dawniej bystrością interesami swojemi. Z tego może powodu dotknięty został wielką, majątkową klęską. Plenipotent, zajmujący się sprawami cukrowni i obracający dużemi sumami zniknął nagle bez wieści. Pojechał na urlop tygodniowy i nie wrócił więcej. Dowiedziano się potem, że umknął do Ameryki. Uwiózł z sobą sumę tak wielką, że na zapłacenie jej pan Bodzicki musiał sprzedać piękny Słomieniec z wygodnym dużym domem, ze ślicznem otoczeniem i stuletnim parkiem. Została panu Bodzickiemu tylko dziesiąta część mienia. Musiał się przenieść z rodziną do Wólki słomieńskiej, niewielkiego folwarku, który mu został. Zamieszkało w małym domku, stojącym wśród zabudowań folwarcznych, domku bardzo ciasnym i nędznym. Piękne konie o które Marcin tak dbał i do których mówił jak gdyby go rozumiały, zostały sprzedane. Powozy, meble, oranżerya, i wszystko co za zbytek mogło być uważane, zostało sprzedane. Pan Bodzicki pragnął, by honor jego pozostał bez skazy, by cały dług został zapłacony. Nie zostało go też ani grosza, ale majątek pp. Bodzickich należał też do najskromniejszych, ledwie mogących wyżywić rodzinę.

Marynia, w tem całym przejściu była podporą rodziców. Rzekła raz, całując rękę stroskanego ojca:

— Może to lepiej, żeśmy majątek stracili. Nie będzie on już przynajmniej przewracał w głowie Adasiowi, któremu ktoś wmówił, że będzie w przyszłości bardzo bogatym.

— Ach, nie mów mi o nim! — zawołał pan Bodzicki, a twarz jego przybrała wyraz wielkiego cierpienia. — Jak ja się na tym chłopcu zawiodłem! Był w dzieciństwie dobrym miłym dzieckiem, zdał tak świetnie do 2-iej klasy, był przez jakiś czas pierwszym uczniem... Ale mniejby mię to już

martwiło, że się źle uczy... Mnie przeraża szczególnie to, że on gotów wyjść na łotra! On kłamie bez zająknięcia się, w żywe oczy! Gotów wyjść na gracza!.. kto wie, może na złodzieja!

Przy tych słowach pan Bodzicki zakrył oczy, a z jego męskiej piersi wyrwało się łkanie.

— Te wszystkie nieszczęścia podkopały moje zdrowie i zdrowie twojej matki. Potrzebowalibyśmy podpory... Wólka Słomieńska, na którą będę zmuszony zaciągnąć dług dla wychowania Józia i Jadzi, dawać będzie bardzo szczupłe dochody, a Adaś nigdy nam nie przyjdzie z pomocą, tak jak przychodzi z pomocą rodzinie swej Mundzo Zorewicz! Ach, Maryniu, Maryniu, jaki ja jestem nieszczęśliwy ojciec! Żeby nie ta pociecha, którą ty mi dajesz...

Ta ruina rodzicielskiej fortuny, o której wiadomość doszła do Adasia, wstrząsnęła nim bardzo. W pierwszej chwili nie uwierzył i błagować począł, bo się już do błagi przyzwyczaił.

— Co to dla mego ojca znaczy zapłacenie tej sumy, którą plenipotent uwiózł do Ameryki! — mówił do kolegów — Ludzie lubią przesadę we wszystkim! Zaręczam, że będziemy tak żyć jakeśmy żyli dotąd! Oho, Słomieniec wystarczy na wszystko!

Gdy wszakże nie było już wątpliwości, że Słomieniec sprzedany został, że sprzedane zostały inne folwarki a państwo Bodzicy mieszkali w Wólce Słomieńskiej, w małym domku zbudowanym dla ekonoma, Adaś posmutniał i dawna buta jakoś go opadła. Błagował jeszcze, ale jakoś bez werwy.

— To tylko jakiś czas tak będzie — mówił — ale my mamy bardzo bogatych krewnych bezdzietnych, po których będziemy dziedziczyć.

— Na wierzbie gruski — zawołał Antoś — krewnym wolno zostawić majątek komu się im podobą.

Adaś, po namyśle, postanowił wziąć się do nauki. Ten Mundzio Zorewicz, on jednak ma przyszłość przed sobą! Nie ma żadnego majątku żadnej z nikąd pomocy a pracą tyle zrobić może!

— Spróbuję i ja — rzekł sobie Adaś.

Próbował, ale to była ciężka rzecz po trzech kwartałach próżniactwa zabrać się do pracy. Cała klasa była już dalej niż on w naukach posunięta, lenistwo osiadło na jego duszy jak pleśń, chciał się przemódz, ale ziewał, przeciągał się, zasypiał nad książką.

Nie dostał promocyi do klasy szóstej, a że w piątej się dzał dwa lata, więc tem samem ze szkół wydalonym został.

O, jakież to był smutny powrót jego do domu! Zdawało mu się, że go przygnała jakiś ciężar zbyt wielki na jego siły. Myślał o rodzicach, którzy tyle ciężkich kolei przebyli, myślał o rodzeństwie, o Maryni, myślał o Słomieniec, gdzie się urodził i wychował. Przez Słomieniec trzeba było przejeżdżać, by się dostać do Wólki Słomieńskiej. Gdy Adaś jadąc koło bramy dziedzica spojrział na dom, w którym ubiegło jego dzieciństwo, zapłakał nagle, jakby jeszcze był dzieckiem, a on miał lat 18, był wysokim chłopcem, któremu lekkim meszek poczynął się pokazywać na wierzchniej wardze.

— Szkoda Słomieńca! Szkoda Słomieńca! — myślał.

Po chwili jednak przyszło mu do głowy, że może w tych łzach, któremi twarz jego była oblana, były też i takie, które



Kobiety z plemienia Kurdów.



plynęły nie nad samą stratą Słomieńca, ale także nad tą troską, którą napełniało serce rodziców postępowanie pierworodnego ich syna.

— Czemu ja się nie nauczyłem uczciwie od początku? — myślał Adaś. — Jużbym teraz szedł do ósmej klasy i byłbym szczęśliwy pomimo sprzedaży Słomieńca, bo miałbym przyszłość przed sobą! Mógłbym sobie nawet powiedzieć że w każdej okoliczności mogę już być podporą rodziców! a teraz wracam do domu, wstydząc się światła dziennego i pragnąc by mój powrót osłoniły cienie nocy!

W istocie, Adaś marzył o tem, żeby się jakoś cicho wemknąć do domu tak, żeby go nikt nie widział, żeby nikt nie usłyszał turkotu bryczki, którą pierworodny syn zajędzie przed dom rodzicielski.

Jakże tu pokazać oczy, kiedy je wstyd niezmierny ku ziemi ciągnął?

Gdyby obok Adasia siedział który z jego kolegów, byłby może jaką błagą usiłował zamydlć mu oczy by nie pokazać swego wstydu, ale był sam na wózku chłopskim, najętym na stacyi, ciągnionym przez małe, mizerne konie, z nieznanym wóźnicą. Na co więc zdać się tu mogła buta i blaga?

— Ach, żebym ja mógł z dzisiejszym doświadczeniem cofnąć się pięć lat w tył i zacząć na nowo 2-gą klasę! — myślał Adaś.

Ale wiedział, przy tem marzeniu, że lata nie wracają nigdy, dla nikogo, a czas miniony jest jak człowiek umarły, który już żywym stać się nie może.

Powitanie Adasia z rodziną było rozdzierające dla stron obu. Ojciec odsunął Adasiowi rękę, którą on chciał ucałować, matka, zobaczywszy zajeżdżający wózek uciekła do swego pokoju, bo się bała łkania, które się już zapowiadało nerwowem zaciśnięciem gardła, Marynia rozplakała się i łez powstrzymać nie mogła. Jadzia, przywitała się z Adasiem ale zaraz potem zawołała:

— Czy to może być, że z ciebie, który byłeś pierwszym uczniem w drugiej klasie, wyrósł taki osioł!

— Jadzia zawsze niema serca! — rzekł zgryźliwie Adaś.

— O, ty to masz serce! — odparła Jadzia. — Jaką radość sprawiasz rodzicom! są oni prawdziwie dumni z takiego syna! a wszystko to dla tego, że dobre serce nie pozwala ci ich zasmucać! To mi się nazywa dobre serce!

Józio po skończonych lekcjach z panem Siewrońskim, który jako nauczyciel wrócił do Wólki Słomieńskiej, przyszedł się przywitać z Adasiem. Patrzył na niego długo swymi wielkimi, czarnymi oczami i wreszcie ozwał się:

— Czy ty doprawdy będziesz świnię pasać, Adasiu?

Adaś spojrział na brata zdziwiony i pełen obrazy.

— Co to znowu znaczy? — zapytał!

— Pan Siewroński mówi, że z ciebie nie nie będzie, chyba świniopas.

Adaś tupnął nogą.

— Chcesz dostać odemnie za uszy? — zawołał ze wściekłością. — A powiedz swemu panu Siewrońskiemu że o niego nie dbam!

Pomimo tego zapewnienia, powitanie Adasia z panem

Siewrońskim, wyglądało na powitanie wilka złapanego w zasadzkę z myśliwym.

Pan Siewroński powiedział Adasiowi tylko jedno słowo, ale było w niem tyle goryczy, że Adasia aż mrowie przeszło. Słowem tem było ironiczne:

— Winszuję!

(d. n.)

## KURDYSTAN I JEGO MIESZKAŃCY.

Na południowo-wschodniej pochyłości rozległej Armenii, w miejscu gdzie się dawniej rozciągała słynna w starożytności Asyrya, leży kraina zamieszкана przez wiele rozmaitych plemion, nie połączonych dotąd żadnym porządnie zorganizowanym związkiem. Jest to Kurdistan, ojczysta ziemia wojowniczo pasterskiego plemienia Kurdów, podlegająca władzy trzech mocarstw: Rosyi, Persyi i Turcyi. Różni się ono również i pod względem religii, chociaż bowiem większa część Kurdów wyznaje islamizm, wszelako są pomiędzy nimi tak zwani: sunnici (czciciele upadłego i wróconego do łaski Bożej anioła) a nawet Nestoryanie (sektę chrześcijańską). Turcy korzystając z tej różnicy wyznań, w części podległej swojemu berłowi stara się bezustannie jątrzyć jednych przeciwko drugim, z obawy, ażeby przyszedłszy do wspólnego porozumienia, nie starali się zrzucić nieławistnego sobie jarzma. Stolicą części tureckiej, jest Bedlis, perskiej zaś Kermanszach. Język Kurdów jest medo-perskiego pochodzenia, obecnie najbardziej pomieszany z nowo-perskim i arabskim. Od czasów Xenofonta, który tu ze swemi 10,000 Greków dokonał wielkopomnego odwrotu, (w V wieku przed narodzeniem Chrystusa Pana), aż do dnia dzisiejszego warunki przyrodzone i polityczne, prawie żadnej nie uległy zmianie. Plemiona Kurdów według dawnego obyczaju przodków z następieniem lata, porzucają stałe osady, przenosząc się z rodziną i trzodami do namiotów pokrytych czarną tkaniną, z grubej, koziej wełny, skąd dopiero wracają wraz z rozpoczęciem zimniejszej pory. Odwaga ich i rozbójnicze napady są powszechnie znane.

Niezdrowe i na pół zniszczone miasto Diarbekir, liczące około 11,000 mieszkańców, na górnym brzegu Tygru, było dawniej ważnym punktem handlowym dla sąsiednich narodów. Teraz punkt ten, który z powodu bezustannych łupieństw i rozbójów, musiano posunąć z północy wschodu, ku południowozachodowi, stanowi granicę narodowości i języka, pomiędzy Kurdystanem i Arabią, przez którą zarówno żaden Arab nie może się wedrzeć poza góry, jak i wojownicy Kurd na pustynię.

Rysy Kurda, którego jako postać typową całego plemienia, mamy przed sobą na rycinie, nie są bynajmniej szpetne, a członki kształtne znamionują odwagę i siłę. Toż samo



Kurd.



prawie dałoby się powiedzieć i o kobietach, gdyby cudaczny strój głowy nie przedłużał w potworny sposób twarzy. Prawdopodobnie owe wysokie czapki, łańcuchy i szerokie pasy, jakie spostrzegamy na dwóch pierwszych, na naszym obrazku, służą jedynie dostojniejszemu damom Kurdystanu, podczas kiedy trzecia obok nich się znajdująca, w chustce z wiejską zawiązaną na głowie, musi być kobietą należącą do gminu.

## Dwudziestopięcioletnia rocznica założenia osad rolnych w STUDZIEŃCU.

Los szczęśliwy, jakiego używacie młodzi czytelnicy, nie jest udziałem wszystkich dzieci na świecie; was od kolebki najtkliwsza otacza opieka, czuwają nad waszym zdrowiem, nad rozwojem waszych władz umysłowych, strzegą od złego, uczą zasad wiary i moralności. Inną zupełnie dola dzieci żyjących w nędzy i opuszczeniu; nikt ich nie oświeca, nikt nie przestrzega przed niebezpieczeństwem, rodzice uganiając się za zarobkiem, za ledwie wystarczającym na kawałek suchego chleba, nie mają czasu zająć się wychowaniem tych biednych istot; sami pozbawieni światła i nauki, nie rozumiejąc praw Bożych, nie starają się lub nie mogą w serca dzieci swoich szczepić zasad religii i moralności. Zdarza się też często, że te nieszczęśliwe dzieci, naksztalt owieczek zbłąkanych, w braku dobrych pasterzy schodzą na manowce, że nie umieją rozróżnić złego od dobrego, i nie znając przykazań Bożych, sięgając ręką po cudze dobro, chcąc osiąść bez trudu to, co człowiekowi jedynie przez pracę zdobyć wolno. Nieszczęsne te dzieci nie tyle zasługują na karę, ile potrzebują opieki i nauki. Usiłując choć w części zapobiedz takiemu marnowaniu się tych młodych, niewinnych istot, ludzie szlachetnego serca i chrześcijańskiego ducha, dla poprawy małoletnich przestępców, powzięli przed 25 laty myśl założenia osady rolnej i przytułków rzemieślniczych w Studzieńcu. Obecnie przebywa tam 161 wychowawców, którzy pod czujną opieką troskliwych przewodników, odcuszają się złych nałóg, a sposobią na uczciwych i pożytecznych członków społeczeństwa. Przechodzą tam oni kurs szkoły elementarnej i pracują odpowiednio do sił, wieku i zdolności swoich, bądź w gospodarstwie rolnem, leśnictwie, chmielarstwie, ogrodnictwie, bądź w warsztatach stolarskich, szmuklerskich, szewskich, krawieckich, ślusarskich, kowalskich i t. p.

Dnia 3 marca r. b. osada Studzieniecka obchodziła uroczystym nabożeństwem 25-snią rocznicę swego istnienia. Modląc się za pomyślny rozwój zakładu, jak niemniej za żywych i umarłych jego opiekunów i dobroczyńców.

Na uczczenie dnia pamiątkowego arcybiskup i biskup sufragani warszawski, nadesłali do Studzienca błogosławieństwo pasterskie, a z różnych miejscowości jak: z Petersburga, Moskwy, Lwowa, Krakowa, Rzymu, Paryża, Berlina, Lozanny i t. d. nadesłodziły odezwy i telegramy od rektorów i profesorów uniwersytetów tamtejszych. Szczerze też życzyć wypada, aby ów zakład, z którego dzieci, stojące już niemal nad przepaścią, wychodzą po pewnym czasie jako uczciwi i zdolni do pożytecznej pracy ludzie, rozwijał się w dalszym ciągu pomyślnie, a do jego rozwoju i wykiędy młodzi czytelnicy skuteczną pomocą będziecie mogli się przyczynić, wywiązując się w ten sposób z obowiązku chrześcijańskiego miłosierdzia względem bliźnich waszych, mniej od was szczęśliwych.

## Lew świętego Marka

(Z ANGIELSKIEGO E. A. Henty)

przekład K. P.

(Ciąg dalszy).

— Słusznie chwalisz kapitanie bystrość i rozwój Franciszka. Ja już dawno wiedziałem o tych jego zaletach dzięki którym oddał mi znaczne usługi. Gdyby się nie urodził spokojnym kupcem, stałby się sławnym wodzem, rozważa i roztropność przydadzą się w pokoju zarówno jak w wojnie. Od dziś będę cię uważał za skończonego człowieka, któremu można powierzyć najważniejsze polecenia.

Następna podróż Franciszka zawiodła go do Jaffy. Wrócił z niej prędko i nie doznał żadnych przygód. Wenecję zastał w stanie wielkiego wzruszenia, gdyż nareszcie wojna została wydana, i Wenecja dokładała wszelkich usiłowań, aby zbudować flotę równą genueńskiej. Dowództwo oddano komandorowi Pisani, któremu doża w kościele św. Marka wręczył wielki sztandar Wenecyi z temi słowy:

— Bóg cię powołał, abyś swą odwagą bronił rzeczpospolitą i karał tych, którzy jej śmiały uragać i odzierać z chwały w jaką ją ubrały zasługi przodków. Powierzam ci więc ten sztandar wielki i zwycięzki, oddaj go nam nieślanym i tryumfującym.

Carlo Zeno, który się już dawniej wslawił roztropnością, został mianowany generalnym dowódcą Negropontu. Zano się stawił trzem pierwszym oddziałom obywateli, którzy byli obowiązani służyć na flocie, i 24-go kwietnia Pisani wypłynął z Wenecyi na czele czterech wojennych galeri.

Pisani był ogólnie lubiony w Wenecyi, zarówno przez szlachtę, jak i przez lud, i podwładnych sobie żołnierzy, których zjednywał serdeczną wesołością i bohaterską odwagą. Był bardzo prędko i gdy się uniósł, to na nic nie zważał. Kiedy był gubernatorem Kandy, ściągnął na siebie gniew doży, za to, że w gniewie uderzył Piotra Cornaro, wysłał go na Rzecząpospolitą, który się z nim nie zgadzał co do taktyki wojennej.

Doża Andrea Contarini był jego krewnym i używał go nie tylko jako dowódcę okrętów wojennych, ale również jako inżyniera i dyplomata, i wszędzie Pisani okazywał wielką zdolność. Od Polaniego, z którym go łączyły stosunki przyjaźni, słyszał wiele pochwał o Franciszku, i życzył sobie, aby Polani przy swoim boku, ale signor Polani radził Franciszkowi aby nie przyjmował tej propozycji.

— To prawda — mówił — że my wszyscy w dawnych czasach stajemy się żołnierzami, ale teraz radzę ci zostać przy handlu. Jeżeli za parę lat wybuchnie nowa wojna, wtedy obejmiesz dowództwo któregoś z moich okrętów i będziesz zależał tylko od admirała. W wielu krajach żołnierstwo dochodzi do wielu dostojności i majątku, ale nie u nas. Pisani jest dziś admirałem, a za tydzień może być zwykłym obywatelem. Dla tego też mój chłopczyna sądzi, że nierozwiednie byłoby rzucać handel dla kariery wojennej.

— Pan słusznie mówi — rzekł Franciszek — choć w pierwszej chwili uśmiechała mi się żołnierka; zacząłem właśnie oszalać z handlem, i niczego tak nie pragnę jak być dobrym kupcem, chciałbym naprawdę wziąć udział w jakiej wielkiej bitwie morskiej, ale jednego z drugimi nie można połączyć.

Przez miesiąc nie można było wypłynąć na morze z powodu przednieprzyjacielem. Po upływie tego czasu wszedł do portu Franciszka Polani, którego wzywano do Rady i rzekł:

— Musisz zaraz przygotować okręt i ruszać w drogę. Nadeszły wiadomości od Pisaniego, że zajął port genueński i nie spotkawszy nigdzie floty Fieschiego. Książę Fie-



który jest naszym stronnikiem, grozi miastu od strony ładu, a Związek Gwiazdzisty Kondottierów, płatny przez nas, idzie przeciwko nim. Pisani prosili o przysłanie kilku okrętów z żywnością. Za małe ma siły, żeby myśleć o zdobyciu miasta; zaczeka więc na powrót floty Fieschiego, a jeżeli to będzie trwało zbyt długo, pójdzie jej szukać wzdłuż brzegów włoskich. Do żadnego portu nie chce wchodzić i dla tego pisze o żywność.

Ofiarowałem się posłać „Bonito”; trzeba się tylko spieścić i niczego nie zapomnieć. Oprócz żywności Rada wysłała miecze, kopje, których nie ma dosyć flota Pisaniego. Tobie powierzę dowództwo. Dam ci całą załogę z „Lido”, w dodatku tak, że będziesz miał przeszło stu ludzi. Kapitan „Bonita” jest chory, zatem będzie go prowadził kapitan z „Lido”. Ty będziesz moim przedstawicielem, i od ciebie ma być wszystko zależeć. Teraz idź i pożegnaj się z moimi córkami, gdyż potem nie będziesz miał czasu. Matteo będzie ci towarzyszył.

Polani słusznie radził pospieszyć w pożegnaniu, gdyż Franciszek zajęty był przez cały dzień i noc ładowaniem różnych produktów na „Bonito”. Co raz to nadpływały tratwy z przedmiotami przeznaczone dla floty weneckiej, a nasz przyjaciel musiał być zawsze na miejscu i zapisywać każdą rzecz. O wschodzie słońca wszystko było w porządku.

Sam Polani przyszedł wyrazić Franciszkowi swoje zażalenie, a w pół godziny później podniesiono kotwicę. W tej właśnie chwili nadbiegł zdyszany Matteo.

— Spóźniłeś się mój chłopcze — rzekł Polani. — Dlaczego nie przyszedłś wczoraj pomagać w ładowaniu?

— Nie byłem w domu, kiedy nadszedł rozkaz pański, a kiedy wróciłem, miałem zaledwie dosyć czasu żeby się przebrać i pójść na zabawę do pałacu dożów. Zresztą przy ładowaniu na nic bym się nie zdał.

— Ty się nigdy na nic nie zdasz, jeżeli będziesz chodził na zabawy, wtedy gdy czeka na ciebie praca. Potrafiłbyś jak każdy inny zapisywać towary w miarę, jak je ładowano. Za drugim razem jeżeli nie będziesz pomagał w przygotowaniach, to wcale nie pojedziesz.

Matteo zmieszał się i zamknął, ale odzyskał dobry humor, skoro tylko signor Polani wrócił na brzeg.

— Mój wujaszek dziś gniewny — zauważył. — A ja naprawdę myślałem, że nie się przydam na statku; a zabawa w pałacu dożów ściągnęła całą szlachtę wenecką, i nie mógłbym sobie darować gdybym ją opuścił.

— Na drugi raz się poprawisz, tymczasem rozmyślaj o swoich przyjaciółach i o zabawie, a ja się pójdę przespać.

— Widać żeś zmęczony, ale potrzebujesz również kąpieli, bo jesteś popielaty od kurzu. To dobrze, że moje kuzynki nie przyjechały razem z ojcem, bo przestraszyłyby się sięgająca, wychodzącego na ich spotkanie.

Franciszek roześmiał się i poszedł do kajuty. Usłuchał rady Mattea, umył się, położył a obudził dopiero wówczas, gdy go zawołano na obiad.

Podróż „Bonita” szła pomyślnie, wiatr sprzyjał, a prócz wiatru posługiwano się jeszcze wiosłami. Kiedy statek okrążył południowy cypel Włoch i znalazł się na wodach morza Śródziemnego, kapitan roztoczył nadzwyczajną czujność z obawy przed flotą genueńską, ale minęło parę dni i ani o Fieschim, ani o flocie weneckiej nie było słyhu.

## XL.

### Bitwa pod Antium.

— Zapędziliśmy się daleko na północ — rzekł kapitan 29 maja — jesteśmy w pobliżu Antium, to jest na wodach genueńskich. Jeżeli Pisaniemu przeszkodziło coś powracać wzdłuż brzegów Włoch, to my znajdziemy się niebawem w ruśnej pozycji, bo albo Fieschi znajdzie nam drogę, albo jako pojedynczą galera wojenna i wtedy nie ujdziemy niewoli. — Hazardowną mamy wyprawę, ale otrzymaliśmy wyroczne rozkazy. Mamy płynąć na północ dopóki nie

spotkamy Pisaniego; jeżeli zobaczymy, że go niema w porcie genueńskim, to zawrócimy do domu, ale nie pierwaj.

— Zanim my ujrzymy port i okręty w porcie, to nas spostrzegą z pagórków nad miastem i zaraz wysła galere aby nas schwycić. Bądź co bądź musimy iść naprzód i jeżeli wpadniemy w zasadzkę, to chyba pan nas z niej wydobędzie.

— Nie radzę panu liczyć na mnie — rzekł, śmiejąc się Franciszek. — Rzadko zdarza się tak szczęśliwy zbieg okoliczności jak w Girgenti.

Nareszcie dowiedzieli się od rybaków, że flota genueńska stoi ukryta w zatoce Antium. Ponieważ Antium leżało o parę mil zaledwie na północ, złożono radę jak postąpić. Płynąc dalej narażano się na schwytanie, ale niebezpieczeństwo nie było wielkie, gdyż genueńczycy nie spodziewając się spotkać okrętów weneckich, nie czekali na nie, więc mógł się „Bonito” przemknąć niepostrzeżenie.

— W każdym razie będzie rozsądniej, jeżeli się zatrzymamy na noc w jakiej zatoce — rzekł kapitan. — Jeżeli się nie mylę, będziemy mieli jutro burzę, a tak ładowny statek jak „Bonito”, z trudnością oprze się potężnym falom.

Nad ranem zerwał się wichur, balwany piętrzyły się jedne na drugie; postanowiono płynąć tuż przy brzegu, aż do zatoki Antium i następnie skierować się na pełne morze.

Nagle ujrzeli o kilka mil na północ flagę genueńską, która zbliżała się w ich kierunku.

— Uciekajmy — rzekł kapitan — flota Fieschiego lustrowała wybrzeża; ale w taką pogodę powinien „Bonito” uciec przed nieprzyjacielem.

— Może to flota wenecka — zauważył Franciszek.

— Być może, ale nie możemy się dać okrążyć, ani czekać na ich przybycie.

— Gdybyśmy jednak wypłynęli dalej na pełne morze, tobyśmy się przekonali, czy w zatoce są genueńskie okręty czy nie.

Kapitan się zgodził. Zwrócono dziób okrętu na pełne morze, niebawem okrzyk radosny wyrwał się z wszystkich piersi, gdyż flota genueńska stała spokojnie w głębi zatoki na kotwicy. Okręty, które się zbliżały, była to flota Pisaniego.

— Patrzcie! — zawołał Franciszek. — Genueńczycy dopiero ich spostrzegli, i rozpinają żagle. Zobaczymy, czy staną do walki, czy unkną? My mamy znacznie więcej okrętów, choć kilka brakuje. Pisani dostał czternaście galer, a teraz widzę tylko dziewięć, tyle ile mają genueńczycy. Musiały się albo spóźnić albo rozbić. Teraz Fieschi, jeżeli nie jest tchórzem, przynajmniej bitwę. Ale w takim razie poco on wypływa na pełne morze?

— Nie chce się zapewne dać zejść na kotwicy, bo przewaga byłaby po naszej stronie i w razie przegranej nie mógłby się cofnąć. On wie dobrze co czyni, ale w taką burzę trudno się bić, bo niepodobna dwom statkom zbliżyć się do siebie. Może na to liczy Fieschi, ale Pisani nie wyrzekłby się bitwy nawet w huragan.

— Dałbym wiele, żeby być na pokładzie jednego z tych statków — mówił Matteo, patrząc z radością na flotę wenecką. — Tu stoimy bezczynnie i nie przyczynimy się w niczem do zwycięstwa naszych.

— Kapitanie, czy nie moglibyśmy się trochę zbliżyć do Pisaniego, nie na to, ażeby wziąć udział w bitwie, gdyż każdy z nieprzyjacielskich statków musi mieć trzy razy tak liczną załogę jak nasz „Bonito”, ale możemy przyjąć z pomocą jakimś zagrożonemu okrętowi i przechylić zwycięstwo na naszą stronę.

— I owszem — odparł kapitan — ale pan weźmie odpowiedzialność na siebie, bo jeżeli Pisani przegra bitwę, „Bonito” będzie wzięty do niewoli.

— Nie dadzą sobie genueńczycy rady z naszym Pisanim — rzekł Franciszek — a nawet gdyby go pobili, to będą mieli tyle roboty z naprawianiem swoich szkód, że nie zechcą gonić okrętu kupieckiego.

— Być może — rzekł kapitan, i kazał zawrócić do brzegu, gdyż i on był ciekawy wyniku walki.



Z obu stron rozpięto żagle, gdyż przy tak wzburzonym morzu, niepodobna było wiosłować. Floty zbliżywszy się do siebie rozdzieliły się, i każdy statek wybrałszy sobie przeciwnika, skierował się do niego. Bitwa się rozpoczęła, ale była to bitwa niezwykła, bo nie zasadała się na wdzieraniu na pokład, jak zwykle, gdyż balwany nie dawały się zbliżyć okrętom do siebie. Obie strony usiłowały zarzucić przeciwnika strzałami i kamieniami, to też łucznicy i maszyny w ciągłej były robocie. Nieraz statek wzniesiony na grzbiecie fali roztrzaskiwał pokład swego przeciwnika, który się znajdował pod nim, a w parę sekund potem jego to samo czekało.

Przez długi czas żadna strona nie była górą. Ludzie ginęli jak muchy, lecz prawie równomiernie. Dopiero, gdy ciężki kamień złamał maszt na galerze weneckiej i gdy ubezwładniona nie mogła unikać balwanów, które ją raz po raz pokrywały, Genuńczycy stali się liczebnie mocniejsi, gdyż jej przeciwnik widząc, że nikomu szkodzić nie potrafi, zwrócił się do galery Pisanego. Ta ostatnia, znaczna przez chorągiew, która powiewała u jej szczytu, walczyła obecnie z galera Fieschi.

Z dwóch stron napadnięta galera admirałska, nie mogła wydołać nieprzyjaciółom. Gdyby ją ubezwładniono, to zostałoby tylko siedm okrętów weneckich przeciw dziewięciu genuńskim i bitwa byłaby przegrana.

Kapitan „Bonita” związał razem kilka ciężkich belek i przymocowawszy je do liny rzucił w morze, i na tej improwizowanej kotwicy stał „Bonito” o pół mili od placu bitwy. Na widok zniszczonej galery, rozległ się okrzyk rozpaczony na pokładzie kupieckiego statku i gniew zwiększył się jeszcze gdy ujrano nierówną walkę galery admirałskiej.

(d. c. n.)



Cyklon w butelce z wodą.

## CYKLON W BUTELCE Z WODĄ.

Do butelki lub kompotiery w połowie napełnionej wodą, kładziemy korek od musztardy z wydrążonym w środku dość obszernym otworem, przez który przeprowadzamy drut lub igliczkę od pończoch, umocowawszy ją górnym końcem do zamkniętego korka. Igliczka zanurzając się w wodzie, sięgać powinna do 5 cm. od dna butelki. Zadanie polega teraz na sposobie uwolnienia z igliczki bez poruszenia takowej, pływającego na powierzchni wody korka, jak nam to boczna rycina wskazuje. W tym celu wystarcza ująć silnie butelkę i zakreślić nią na stole spieszenie kilka obrotów, poczem ustawić ją spokojnie. Przez ten ruch ośrodkowy woda straci swe położenie poziome, zagłębiając się lejkowato, aż do samego prawie dna butelki, pociągając wraz z sobą wzdłuż drutu osadzony na nim korek, tak, że tenże dosięgnąwszy końca igliczki wypływa swobodnie na wodę.

Zabawka ta daje nam też w miniaturze obraz okrętu pochwyconego przez straszną siłą cyklonu, czyli trąby morskiej.

## Od Redakcyi.

Zarząd kolonii letnich liczący obecnie piętnasty rok istnienia, przystępując obecnie do wyboru dzieci wysłać się mających w r. b. na wieś, zwraca się do osób dobroczynnych z prośbą o przyczynienie się ofiarą do dzieła, które wnosi zdrowie i pociechę pod dach naszych uboższych braci.

Kolonie letnie kapitałów nie posiadają; istnieją i rozwijają się jedynie kosztem corocznie zbieranych ofiar; Bóg da, że i w roku bieżącym ofiar tych nie zabraknie, że oczekiwania rodziców, niemogących własnymi siłami ratować swych dzieci, zawiedzionemi nie będą.

Ofiary składane być mogą na ręce Skarbnika, Dyrektora Aleksandra Czajewicza, codziennie od godziny 2 do 3, w biurze Dyrekcyi Towarzystwa Kredytowego Miejskiego (Ulica Włodzimierska Nr. 23), a nadto na ręce osób do tego upoważnionych — wreszcie w redakcyach czasopism.

Redakcyja Wieczorów Rodzinnych chętnie również przyjmie wszelkie, choćby najdrobniejsze na ten cel datki prenumeratorów swoich.

**Sprostowanie.** W Nr. 11 Wieczorów, w artykuliku pod tytułem Kijów, wcisnęły się następujące omyłki drukarskie, a mianowicie: na stronnicy 86 w wierszu 23 od góry, zamiast 700, 000 mieszkańców czytać należy 200, 000.

W wierszu 26 na tejże stronnicy, zamiast: przez który przepływa strumień, powinno być: przez który niegdyś przed laty przepływał strumień...

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

**TREŚĆ:** Wiosna, wiersz p. M. Zielińską. — Dźwięk i światło p. A. M. — Losy Adasia p. Zofię Kowerską. — Kurdystan i jego mieszkańcy (z drzew). — Dwudziestopięcioletnia rocznica założenia osad rolnych w Studzieniu. — Lew świętego Marka (przekład K. P. z angielskiego G. A. Henty). — Cyklon w butelce z wodą (z drzew). — Dodatek: Powrót bocianów, wiersz (z drzew). — Mrówka i piłka. — Niespodzianka, komedyjka. — Mali Robinsonowie w skalach nadmorskich, przełożyła M. B. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Orla skała powieść miss K. Yonge przekład T. O.



# WIECZORY RODZINNE



## POWRÓT BOCIANÓW.

Stopniały śniegi, słoneczko świeci,  
Młodziuchną runią lśnią łąny.  
Przed chatą woła tłum wiejskich dzieci:  
Bociany lecą! bociany!  
Lecą bociany! o! jak wesoło,  
Wita ich ludek nasz wszędzie.  
Już na stodole zczerniałe koło,  
Stać pustką odtąd nie będzie.  
I tylko patrzeć jak tuż za niemi,  
Jaskółki z wielką uciechą,  
Wiosenkę lubą zwiastując ziemi,  
Ulepią gniazdka pod strzechą.  
O! lećcie żywo w wioski zacisze —  
Według zwyczajów niezmiennych —  
Wrogi złych gadów i towarzysze  
Rolnika trudów codziennych.  
A gdy was zimna pora z kolei  
Wypędzi ztąd do odlotu,  
Zostanie ludziom z blaskiem nadziei,  
Pewność waszego powrotu.

E. L.



## MRÓWKI I PIŁKA.

Zrobiło się gwarno na dziedzińcu szkolnym. Gromadka chłopców wybiegła z klasy. Byli bardzo ożywieni i zajęci, gdyż nauczyciel opowiadał im o ziemi, że jest kulistą, że się ciągle obraca w koło siebie.

— Jakto ziemia może się obracać — mówił mały

Karolek do kolegów — my przecież tego nie czujemy zupełnie.

Dzieci spojrzały na siebie z niepewnością, wtedy Wiktor, pierwszy uczeń w klasie, zawołał:

— Chodźcie, ja wam to wytłumaczę.

Chłopcy mieli ogromną piłkę, którą się bawili między godzinami lekcji. Wiktor wziął delikatnie mrówkę, posadził ją na piłce, uniósł do góry, podtrzymując dwoma tylko palcami. Mrówka chodziła spokojnie po powierzchni dużej piłki. Wtedy Wiktor zaczął ją lekko obracać, a mrówka nie zdawała się być tem wcale zakłopotaną. Dzieci otoczyły w koło starszego kolegę i przyglądały się piłce z przyjemnością.

— Widzicie — mówił Wiktor — piłka to ziemia, a mrówką ja jestem. Chodzę po ziemi jak mrówka po tej piłce i jak ona nie czuję wcale, czy się obraca czy też jest nieruchomą

Karolek przyglądał się temu z podziwem.

Wiecie co — zawołał — trzeba tam wsadzić więcej mrówek, to będzie zabawniejsze.

Dzieci poszukały prędko kilka jeszcze mrówek, posadziły je na piłce, a czarne owady biegały po niej w rozmaitych kierunkach. Gdy jedna była na górze, druga znajdowała się na dole, a wtedy małe ich nóżki zwracały się w jedną stronę, ku środkowi piłki.

— Oto antypody — zawołał, śmiejąc się Wiktor. — Ludzie są tak samo z drugiej strony ziemi, a nogi ich są zwrócone do naszych, ludzi tych nazywają naszymi antypodami. Jest zupełnie tak samo z nimi jak z temi mrówkami, patrzcie, ta tu jest w Europie, a tamta w Australii.

Dzieci ciągle otaczały Wiktora i bawiły się z wielkiem ożywieniem. Zabawę tę nazwały zabawą w ziemię, a żadna gra jeszcze nie zajęła ich więcej.

## NIESPODZIANKA.

KOMEDYJKA.

OSOBY:

Julek, Ańdzia i Basia.

(Rzecz dzieje się w pokoju szkolnym, w głębi którego stoi stół nakryty serwetą, spuszczającą się aż do ziemi).

Julek (wchodzi, w czapce na głowie). Powiedziałem dziewczętom, że pójde naprzeciwko, do kolegi — ale ani mi się śni! Wróciłem innemi drzwiami, ukryję się gdzieś tutaj i podsłucham całą ich rozmowę! Wprawdzie nie bardzo pewnie zajmujące te panieńskie sekreta — zwłaszcza też dla mnie, który wcale nie jestem ciekawy — no, ale zawsze nie zawadzi się dowiedzieć, o co im właściwie chodzi?



Słyszałem najdokładniej jak mówiły: „Po podwieczorku pójdziemy do naszego pokoju, tam się naradzimy”—a gdy ja się zbliżyłem, zaraz umilkły i dawały sobie znaki porozumienia. Okropnie nie lubię, gdy kto przedemną ma sekreta, a tembardziej, że to dziś pierwszego kwietnia, więc one gotowe się tu naradzać nad tem, jakby mnie zwieść! Ot, to dopiero koncept! jabym się też dał wyprowadzić w pole takim dwom dziewczętom, — przecież jestem mężczyzną, a mężczyźni, ho, ho! mężczyźni mają rozum! kończą uniwersyteta, zdają doktoraty—gdy dziewczęta co? czego się one będą uczyły? Powinny mieć dla mnie szacunek i koniec — bo chociaż mi ta trzecia klasa jakoś nie poszła, ale o tem niema co i mówić, bo to się przecież każdemu zdarzyć może — *(staje przed zwierciadłem)*. O, i wyglądam nawet wcale poważnie, za kilka lat gotowem już mieć wąsy! to dopiero będzie przyjemność! *(chwyciła się za czapkę, którą wciąż miał na głowie)*. Oj, zapomniałem się i znowu wszedłem do pokoju w czapce, tatko by się gniewał, ale to trudno, kto ma tyle rzeczy na głowie, musi się czasem zapomnieć *(zdejmuje czapkę i kładzie ją na krześle, patrzy ku drzwiom)*. Ciekawym, czemu te dziewczęta nie nadchodzą? czy tylko gdzie indziej nie poszły się naradzać? Ale nie! otóż i nadchodzą! trzebaby się gdzieś ukryć!

*(Chowa się pod stół i spuszcza serwetę, nie uważając, że z pod niej jeszcze widać jeden bucik. Ańdzia i Basia wchodzi, niosąc spore pudełko owinięte w papier i opieczetowane; obie rozglądają się po pokoju, dostrzegają czapkę Julka i nogę jego wyglądającą z pod stołu, ucieszone, dają sobie znaki porozumienia)*.

**Ańdzia** *(podnosząc umyślnie głos)*. Więc jesteś pewna, że tu nikogo niema? zdawało mi się, że wchodząc słyszałam rozmowę.

**Basia** *(równie głośno)*. Ale nie; to pewnie w mamy pokoju ktoś mówił, nie traćmy czasu, tylko się naradzimy, gdzie schować to pudełko przysłane przez wujcia.

**Ańdzia**. Trzebaby je tak schować, żeby go Julek, broń Boże, nie znalazł, bo przecież wujcio na wierzchu napisał wyraźnie, *(czyta wciąż równie podniesionym głosem, napis na pudełku)*. Kto pierwszy potrafi otworzyć to pudełko, temu daruję tę śliczną rzecz, którą ono zawiera, *(mówi z uśmiechem)*. No, a Julek, gdyby tylko spróbował potrafiłby z pewnością!

**Basia**. Ma się rozumieć, zgrabniejszego i sprytniejszego chłopca niema na całej kuli ziemskiej, my musimy spróbować pierwsze, bo on ze swoim męzkim rozumem od razu dałby temu radę!

**Ańdzia**. Ale, że wujcio napisał jeszcze: „Proszę tylko stanowczo, nie otwierać pudełka aż do jutra rana,” zatem trzeba je tak schować, żeby go Julek nie zobaczył.

**Basia**. Och, „on taki ciekawy, nie wytrzymałby do jutra, ale gdzież je schowamy? może do naszej szafeczki?”

**Ańdzia**. Nie zmieści się, chyba położymy za piecem.

**Basia**. Tam je zaraz Julek odkryje, on przecie w każdym kącie zagląda.

**Ańdzia**. Więc najlepiej zanieśmy je do tej ciemnej komórki, w której mama trzyma stare kufry z rzeczami *(wskazuje boczne drzwiczki na lewo)*. Tam już Julek nie pójdzie, bo on wcale nie lubi ciemnych komórek!

**Basia**. To prawda, ja także zauważyłam, że nasz braciszek jest trochę tchórz. No, na ten raz, to się dobrze

składa, bo wujciowe pudełko poleży sobie bezpiecznie aż do jutra. Więc chodźmy *(wychodzą boczniemi drzwiami, Julek wysuwa głowę z pod stołu)*.

**Julek** *(mówi z pod stołu)*. Poszły! i pudełko wzięły! szkoda, że nawet nie mógł zajrzeć, jak ono wygląda, ale bałem się ruszyć. **Ańdzia i Basia wracają bez pudełka. Julek z pośpiechem chowa się pod serwetę!**

**Ańdzia**. No, a teraz możemy pójść zagrać na cztery ręce.

**Basia**. I owszem, doskonale się nam udało zabezpieczyć pudełko *(wychodzą, po drodze z uśmiechem pokazując sobie czapkę Julka)*.

*(d. n.)*

## Mali Robinsonowie w skałach nadmorskich.

przełożyła M. B.

*(Dalszy ciąg)*.

Iwonek przekonawszy się, że dziś szkatułki nie zobaczy, zapomniał o niej wkrótce, zaczął skakać, biegać za Melcią, która rzekła dopiero gdy się już dosyć naswawolił.

— Chodźmy na górę, muszę obiad gotować, a ty zasiądziesz tymczasem do czytania.

Poszli do groty i zabrali się, każdy do swojej roboty. Zjadłszy obiad, pobawili się trochę, poczem usnęli za nadejściem nocy. Rano obudzili się z nadzieją, że morze znów im coś przyniosło w czasie przypływu i że uda im się dzisiaj wydostać przedmiot, budzący w nich taką ciekawość.

Zaledwie wyszli, ujrzeni zaraz na stosie traw morskich baryłkę.

— Jeszcze nowa zdobycz — wykrzyknął Iwonek — stanowczo mamy szczęście w naszych niepowodzeniach.

— To ten statek rozbity tak nas obdarza, ładunek nie zawierał towarów... należał on zapewne do osób prywatnych, a nie do kupców. Musiał to być mały parowiec, podobny do tych, które widziałam nieraz, gdyśmy z ojcem wypłynęli na pełne morze... Jakie one są ładne... pomost cały błyszczący, przechadzają się na nim strojne panie, dzieci biegają. Ten rozbił się tak niedaleko od naszego brzegu, iż nic dziwnego, że masę rzeczy fala z sobą porwała i wrzuca do naszej kryjówki.

Tak mówiąc, Melcia nie spuszczała oka z baryłki...

— Moznaby sądzić, że ona gdzieś u nas robiona. Nie zdziwię się, jeżeli to co się w niej znajduje zrobi ci wielką przyjemność.

— Co? powiedz siostrzyczko, co takiego?

— Zejdźmy, a dowiesz się zaraz...

Gdy znaleźli się przy baryłce:

— Musiemy ją zatoczyć pod schody — rzekła Melcia. I śmiejąc się wzięła dwa kije, z których jeden dała Iwonkowi. — Podsuń kij pod baryłkę, ja zrobię tak samo i we dwoje będziemy ją popychać przed siebie. Podnoś!...

Przy wysiłku obojga, baryłka się potoczyła.

— Jak to przyjemnie i zabawnie. Zaczynamy ją nowo!



— Zaraz, zaraz... -- odrzekła Melcia.

Baryłka szczęśliwie znalazła się u stóp wschodów. Pozostawała rzecz najcięższa... Jak ją przedostać po tych wysokich kamiennych stopniach? Melcia bała się o nogi, które baryłka zgnieśćby mogła spadając. I w myśli stanął jej obraz, coby było w takim razie: ona okaleczona, nie mogąca się poruszyć, Iwonek pozostawiony sam sobie. Jakżeby on dał sobie radę? Ryby łowić, obiad gotować... Melcia usiadła na stopniu, chcąc się namyśleć co robić należy? Otworzyć baryłkę, to był jedyny sposób, ale kto wie czy zawartość jej, wystawiona na działanie powietrza nie ulegnie zepsuciu.

Wtem przyszedł jej na myśl sznur, którym związywała worek, pobiegła go przynieść i okręciła nim parę razy baryłkę. Ciężką ona była, chociaż stosunkowo dość niewielką.

— Ty, Iwonku, wejdiesz o jeden stopień wyżej i sznurem będziesz ją ciągnął do góry, ja zaś popychać ją będę z dołu. Tylko pamiętaj nie puszczaj sznura, zanim mnie wpierw nie ostrzeżesz, bym mogła na bok odskoczyć.

Gdy wszystko było gotowe, Iwonek przerzucił sznurek przez ramię, a Melcia kijem podniosła baryłkę.

Wstępowanie na schody, poszło im łatwiej niż się spodziewali, Iwonek zadyszał się trochę, ale bardzo był dumny z pochwał Melci, która silna i zręczna dopomagała mu dzielnie. Na przedostatnim stopniu, wyższym cokolwiek od poprzednich, Iwonek krzyknął nagle.

— Puszczam sznur, nie mogę już dalej!

Melcia jednym skokiem znalazła się przy braciszku i pochwytywszy za sznurek, jednym silnem szarpnięciem wciągnęła baryłkę do góry.

— No Iwonku, jeszcze jedno silne pchnięcie... i koniec wszystkiemu!...

Iwonek odmówił, a gdy Melcia nalegała by jej pomógł koniecznien wtoczyć baryłkę do groty, zaczął płakać i narzekać na ból w krzyżu.

— Mówisz tak by mnie rozczulić, ale dam sobie radę bez ciebie.

Jak rzekła tak i zrobiła.

Iwonek wszedł za nią i położywszy się na łóżku, płakał coraz głośniej.

— Więc ciebie kochaneczku, naprawdę tak boli?

— Ach! tak... piecze mnie, boli, łamie w plecach...

I przy najmniejszym poruszeniu:

— Och! boli... tutaj boli!... i tu!... — krzyczał, a łzy płynęły coraz obficie.

— Mój biedaczku najdroższy! To moja wina, byłam tak złą i nieuważną że dałam ci pracę nad siły... — rzekła zasmucona siostra. — Może chcesz bym ci opowiedziała jaką ciekawą historyjkę?

— Nie, nie mnie teraz nie zabawi.

— Zrobię ci doskonałą zupę.

— Jeść mi się nie chce. O jej! jej!...

Melcia usiadła obok niego, a serduszko ścisnęło się jej boleśnie przy każdym jęku lub skardze Iwonka. Dziwnem się jej to zdało, że przed godziną właśnie rozmyślała nad tem, coby to było, gdyby które z nich zachorowało, a drugie nie mogło mu nic poradzić. I oto Iwonek,

jej najdroższy braciszek leży chory, a ona nie wie co począć?

— Możebyś usnął, mój maleńki? — zapytała po chwili.

— Jakże ja mogę usnąć, kiedy mnie tak boli!

Melcia jednak zaczęła nucić cichutko:

Był sobie baraneczek...

I tak półgłosem, cichym i monotonnym, prześpiewała całą piosenkę; powoli, oczki małego zaczęły się zamykać, a Melcia nie śmiała się ruszyć, w obawie by go nie obudzić... Nie sposób więc gotować dziś obiadu, bo i drzewo trzeba łupać i ogień rozpałać, a tu Iwonek jak się obudzi, może być głodny.

A gdyby tak zupę ugotować na dole? Rozpali ogień na schodach, włoży do rądelka kawałek węgorza, sucharów... A w razie gdyby Iwonek jej potrzebował, w jednej chwili będzie przy nim. Jak pomyślała, tak i zrobiła, a gdy zupa była gotowa, poniosła ją na górę.

Iwonek leżał ciągle z zamkniętymi oczami, ale nie spał, stękał i narzekał na pragnienie. Melcia przyniosła mu wody na łyżce i do ust podała. Odrzucił łyżkę i oczy otworzył.

— Chciałeś pić braciszku — rzekła.

— Tak, chcę pić — odparł płaczącym głosem.

— A więc dla czego odepchnąłeś wodę, którą ci podawałam?

— Bo niedobra, ja chcę jabłeczniku...

— Ale wiesz dobrze, że ci go dać nie mogę, choć bym tego nie wiem jak pragnęła.

— Tutaj nic nie ma! Chodźmy już ztąd.

I poruszył się chcąc wstawać, ale krzyknął i jeszcze silniej począł płakać.

— Boli mnie okropnie! Chodźmy Melciu, będziesz mnie niosła..

— Bolałoby cię jeszcze gorzej, gdybym cię poruszyła, a zresztą nie mógłbyś się przecie wyciągnąć, przechodząc przez otwór w skale... A innego sposobu wyjścia niema... Teraz leżysz sobie wygodnie na posłaniu, z traw ono wprawdzie zrobione, ale miękkie, ciepłą koldrą jesteś nakryty... Ale może chcesz zupy, ugotowałam tę, którą tak lubisz!

— Nie, nie, ja chciałbym tylko jabłeczniku, pić mi się chce bardzo...

Co za męka dla Melci, nie mógł zadowolnić życzenia ukochanego braciszka. Bóg widzi, z jaką chęcią nie jadłaby sama, gdyby można zupę przemienić na jabłecznik, albo na szklaneczkę słodkiego wina, które raz, w dzień imienin mamy pili, niezmiernie im smakowało. Smutny to był obiad dla Melci, jadła go sama, Iwonek nie chciał nawet skosztować zupy.

— A szkoda, bo taka dobra, jak jeszcze nigdy nie była — powtarzała Melcia, zachęcając go.

— Wszystko mi to jedno, bo przecież to nie jabłecznik.

Noc zapadała powoli, a gdy w grocie zrobiło się zupełnie ciemno, Iwonek się uciszył, Melcia cichutko położyła się obok niego i wkrótce pogrążeni w śnie głębokim zapomnieli, on o cierpieniach, ona o niepokojach swoich.



Obudziły ich dopiero promienie słoneczne, wciskające się jasnymi snopami przez szczeliny skały.

— Boli cię jeszcze? — zapytała Melcia z niepokojem całując braciszka.

Usiadł na posłaniu i nic nie odpowiadając, poruszył rękami.

— Nie boli! — odrzekł z uśmiechem, uszczęśliwiony, że wyzdrowiał. Skrzywił się jednak stanawszy, ból wszakże nie musiał być zbyt silny, skoro zaraz zapytał:

— Czy jest jeszcze zupa wczorajsza, siostrzyczko.

— A jakże, zaraz ci ją odgrzeję i uraczysz się nią do woli!

(c. d. n.)

S Z A R A D A.  
przez E. M.

*Pierwsze* z nich różne są,  
Ale nie dźwięczną grą.  
*Wspak drugi* zawsze sam  
Wraz niewłaściwy nam;  
Bo z jego dąsów, krzywienia  
Mało zadowolenia.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.  
Maniusia J. dla Lili S.

Z następujących zgłosek ułożyć 7 wyrazów, których początkowe i końcowe litery złożą imiona dwóch królów, obecnie prowadzących z sobą wojnę. Me—er—nie—e—lip—i—ko—ter—lau—ba—reb—pe—zy—rynt—nich—wem—dor.

1) Były słynny austriacki dyplomata. 2) Miasto w Węgrzech. 3) Przysiółek czasu. 4) U starożytnych Greków nazwa piekła. 5) Dopływ Renu. 6) Patron rolników. 7) W starożytności słynne miasto w Grecji.

KWADRAT CZARODZIEJSKI.  
ułożyła Salamandra.

a	a	a	a	a	Ozdobne naczynie na kwiaty.
a	e	e	o	o	Warownia nad morzem Czarnem.
o	o	n	n	n	Miasto w Galicyi n. rz. Skawą.
p	p	w	w	l	Miasto na Szląsku nad Odrą.
r	r	z	z	t	Dopływ Bugu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 13-go.

*Szarady:* Pa — ra — sol — ka.

Łamigłówniki sylabowej:

1) Paryż. 2) Andriolli. 3) Nipon. 4) Warownia. 5) Orzechy. 6) Łupina. 7) Osa. 8) Dynamit. 9) Yavari. 10) Jowisz. 11) Opryszek. 12) Wallenrod. 13) Saragossa. 14) Karabin. 15) Iris.

Rebusiku: Przyjaciół poznasz w nieszczęściu.

## Skrzynka do listów.

Uwzględniając przeszkodę, jaką była choroba, przyjmujemy wyjątkowo od *Promyczka* z Białej Rusi próbkę kaligrafii w dwóch wierszach tylko. Zastrzegamy sobie jednak, aby inni korespondenci nasi pamiętać zechcieli, że dla sprawiedliwego ocenienia pisma, powinni przysłać przynajmniej dwie strony kaligrafii.

Pochwalamy uczucie przywiązania *Janinki T.* do stron rodzinnych; nie wątpimy też, że Warszawa i jej okolice podobać jej się będą, gdy do nich zawita. Cieszy nas to, że Janinka z zajęciem czytuje *Wieczory*.

Nie wszystkie łamigłówniki nadają się do druku, niech to przecież nie zniechęca *Orła czubatego* i niech spróbuje ułożyć co innego.

Szybkie zrobił w kaligrafii postępy *Słowiczek* z nad Abeli, skoro niedawno się ucząc, potrafił porządnym i czytelnym piśmem skreślić do nas list na trzech stronicach. Nie wątpimy, że do innych nauk z równą przykłada się ochotą, a ponieważ dobra wola ułatwia każdą pracę, wyjdzie niebawem Słowik na pilnego i przykładowego ucznia, czego mu szczerze życzymy. Łamigłówniki jeśli będą dobre, z kolei się wydrukują.

Szanujemy w każdym poczucie obowiązku, zatem nie poczytujemy za złe *Słowikowi* z nad Łubiany, że obowiązki starszej córki w domu, usunęły na drugi plan korespondencyą z Redakcją. To co pisze Słowik na usprawiedliwienie milczenia, wystarcza, abyśmy przyznali mu zalety kochającej siostrzyczki, darzącej dowodami najtkliwszego przywiązania młodszą od siebie Jagódkę, wreszcie pilnej uczennicy i pracowitej gosposi, skoro czas przy nauce i zajęciach gospodarskich tak szybko mu schodzi, że nawet nie spostrzegł się, jak z małego dziecka wyrosł na młodą panienkę i poważną ciotkę dużych siostrzeńców. Więcej jednak niżeli poważny tytuł ciotki, świadczy o nim dobra wola korzystania z czynionych uwag.

Łamigłówniki swego układu nadesłali: *Galicyanin*, *Przyjaciółka ptaszków*, *Tygrys* Bengalski i *Orzeł czubaty*.

Dobre rozwiązania nadesłali: *Karol G.*, *Gwiazda*, *Julian W.*, *Wesoła Figlarka*, *Witek* i *Wacek K.*

Zartuje chyba *Strumyczek* z małego ptaszka, mówiąc: „Nareszcie zyskałam sobie twoje łaski i korespondencya nasza dalej trwać będzie”. Czyż te łaski trudno wam przychodzi pozyskać. Czyż nie wystarcza jeden uprzejmy wyraz z waszej strony, jedna przyjazna odezwa, abym spieszyła z chętną odpowiedzią i służyła wam radą, wskazówką, objaśnieniem, przestrożą, słowem wszystkim, na co stać życzliwą wam Jaskółkę? Wprawdzie za tę gotowość świadczenia wam przysług stokrotnie jestem nagrodzona ciepłem uczucia wdzięcznych serduszek waszych, gdy np. miły *Strumyk* nawet pod urokiem włoskiego nieba, wśród czarujących widoków południowych krajów, przychylnie wspomina niepozorną i drobną przyjaciółkę swoją.

Dobry Bóg dał ludziom rozmaitość gustów i upodobań co im życie bardzo ułatwia. Żleby bowiem było, gdyby wszyscy jednego pragnęli i o jedno się dobijali. Ta różnica upodobań co chwila spostrzegać się daje. *Zochne M.* np. podobała się powieść drukowana w *Wieczorach* przed dwoma laty i piszę, że inne nie zdołały równego wzbudzić w niej zajęcia; gdy drudzy czytelnicy inne także powieści z przyjemnością czytują.

Dziękuję *Promyczkowi* z Białej Rusi za życzenia z okazji świąt nadesłane, nawzajem życzę mu prędkiego powrotu do zdrowia, które stanowi jeden z najcenniejszych skarbów człowieka i o którym nasz poeta *Kochanowski*, powiedział: „Szalone zdrowie, Nikt się nie dowie, Jak ty smakujesz, Aż się zepsujesz”. Rośnij więc zdrowo, silnie i krzepko, na pociechę rodziców, chwałę Bogu i pożytek ludzi.

*Jaskółka.*